

C. J.
SANSOM
LAMENTACJE



Rozdział pierwszy

Nie wybierałem się na egzekucję. Nigdy nie lubiłem takich widowisk jak szczucie psami uwięzowanego niedźwiedzia, a dziś miano spalić żywcem na stosie czworo ludzi, w tym niewiasty, za kwestionowanie obecności ciała i krwi Chrystusa w hostii podczas mszy. Oto, do czego doszliśmy w Anglii w czasie wielkiego polowania na heretyków w 1546 roku.

Zostałem wezwany ze swej kancelarii w Lincoln's Inn na rozmowę ze skarbnikiem, panem Rowlandem. Mimo że byłem komisarzem, najstarszym rangą adwokatem, Rowland nie darzył mnie sympatią. Myślę, że nie zapomniał tamtego razu, kiedy przed trzema laty okazałem mu – nie bez powodu – brak szacunku, urażając jego dumę. Szedłem teraz przez jaśniejący w letnim słońcu dziedziniec, wymieniając pozdrowienia z innymi odzianymi na czarno i podążającymi w różne strony prawnikami. Spojrzałem w okna Stephena Bealknapa, mego starego wroga – zarówno w sądzie, jak i poza nim. Okiennice były zamknięte. Od początku roku nie domagał i dłuższy już czas nie wychodził ze swej kwatery. Niektórzy powiadali, że jest bliski śmierci.

Dotarłem do biura skarbnika i zapukałem do drzwi. Ze środka dobiegł ostry głos zezwalający mi wejść. Rowland siedział za biurkiem w swym przestronnym gabinecie z grubymi księgami prawniczymi na półkach, będącymi symbolem jego statusu. Był już starym człowiekiem, ponad sześćdziesięcioletnim, chudym jak szczapa, lecz krzepkim jak dąb, o wąskiej, pooranej zmarszczkami, zasępionej twarzy. Nosił białą brodę, długą i rozwidloną według obecnej mody, starannie uczesaną

i sięgającą mu do połowy aksamitnego dubletu. Kiedy przekroczyłem próg, uniósł głowę – właśnie przycinał gęsie pióro. Palce, jak ja, miał poplamione atramentem od wieloletniego sporządzania aktów prawnych.

– Oby Bóg zesłał ci dobry dzień, komisarzu Shardlake – powiedział i odłożył nóż.

Skloniłem się.

– I tobie, skarbniku.

Wskazał mi stołek, spoglądając na mnie surowo.

– Interesy idą dobrze? – spytał. – Czy będziesz miał w trymestrze jesiennym wiele spraw?

– Całkiem sporo, skarbniku.

– Podobno nie bierzesz zleceń od prawnika Jej Królewskiej Mości – rzucił od niechcenia. – Już od roku.

– Mam mnóstwo innych. I sporo czasu zajmuje mi praca w Sądzie Prósób*.

Sklonił głowę.

– Słyszałem, że niektórzy urzędnicy królowej Katarzyny są przesłuchiwanie przez Tajną Radę. Na okoliczność herezji.

– Tak głosi plotka. Ale tylu ludzi przesłuchiowano w ostatnich miesiącach.

– Ostatnio widuję cię częściej na mszy w kościele stowarzyszenia.

– Uśmiechnął się sardonicznie. – Czyżbyś chciał dowieść, że jesteś wierzący? Mądra polityka w tych burzliwych czasach. Uczęszczać do kościoła, nie rozprawiać o religii, iść za wolą króla.

– W rzeczy samej, skarbniku.

Wziął zaostrome pióro, splunął na nie, by je zmiękczyć, a następnie wytarł szmatką. Ponownie spojrział na mnie z uwagą.

– Dotarły do ciebie wieści, że pani Anna Askew została skazana na spalenie żywcem wraz z trzema innymi osobami. Egzekucja ma się odbyć w przyszły piątek, szesnastego lipca.

– W Londynie o niczym innym się nie mówi. Niektórzy twierdzą, że po procesie była torturowana w Tower. Dziwne.

Rowland wzruszył ramionami.

* Sąd Prósób – sąd rozpatrujący skargi wnoszone przez służących królewskich i ludzi ubogich.

– Gawieź wygaduje niestworzone rzeczy. Jednakże, nieszczęsna, wybrała sobie złą porę. Porzuciła męża i przyjechała do Londynu, by głośić opinie sprzeczne z *Sześcioma artykułami*. Nie chciała wyrzec się przekonań, spierała się publicznie z sędziami. – Pokręcił głowę, a potem pochylił się do przodu. – Jej spalenie na stosie ma być wielkim widowiskiem. Nie było takiego od lat. Król pragnie, by wszyscy zobaczyli, dokąd prowadzi herezja. Zjedzie się połowa Tajnej Rady.

– A król nie? – Według plotek i on miał być obecny.

– Nie.

Przypomniałem sobie, że Henryk wiosną był poważnie chory, i od tego czasu prawie się ludowi nie pokazywał.

– Jego Królewska Mość życzy sobie, by zjawili się przedstawiciele wszystkich londyńskich gildii. – Przerwał na chwilę. – I zrzeszeń prawniczych. Postanowiłem, że ty będziesz reprezentował Lincoln's Inn.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– Ja, skarbniku?

– Bierzesz na siebie mniej obowiązków towarzyskich i reprezentacyjnych, niż przystoi komuś o twej pozycji, komisarzu Shardlake. Nikt się nie pali, by wziąć udział w tym wydarzeniu, więc musiałem sam kogoś wyznaczyć. I uznałem, że teraz twoja kolej.

Westchnąłem.

– Wiem, że nie wykazywałem zbytnej gorliwości, jeśli idzie o takie obowiązki. To się zmieni, jeśli tak sobie życzysz, skarbniku. – Wziąłem głęboki oddech. – Ale kiedy indziej, proszę. To będzie straszne widowisko. Nigdy nie byłem świadkiem spalenia na stosie i nie pożądam takiego widoku.

Rowland zbył me protesty lekceważącym ruchem ręki.

– Jesteś zbyt wrażliwy. To dziwne u chłopskiego syna. Widywałeś już egzekucje, wiem o tym. Lord Cromwell wysłał cię na ścięcie Anny Boleyn, kiedy mu służyłeś.

– To było wystarczająco okropne. Teraz będzie jeszcze gorzej.

Postukał w dokument na biurku.

– To polecenie, bym kogoś wysłał. Podpisane przez królewskiego sekretarza, samego Pageta. Jeszcze tego wieczoru muszę go powiadomić, kogo wyznaczyłem. Przykro mi, komisarzu, ale postanowiłem, że ty będziesz tą osobą. – Wstał, dając do zrozumienia,

że rozmowa jest skończona. Podniosłem się więc i skłoniłem ponownie. – Dziękuję, że wyraziłeś chęć wzięcia na siebie większej liczby obowiązków naszego zrzeszenia – dodał gładko. – Zobaczymy, jakie inne... – Tu się zawahał – zadania mogą się nadarzyć.



W dniu egzekucji obudziłem się wcześniej. Widowisko miało się rozpocząć dopiero w południe, lecz już teraz czułem się zbyt ociężały i przybity, by udać się do sądu. Mój nowy służący, Martin Brocket, punktualny jak zwykle, o siódmej przyniósł do mej sypialni płócienną bieliznę oraz dzban gorącej wody i życzywszy mi dobrego dnia, wyjął dla mnie koszulę, dublet i letnią togę. Zachowywał się poważnie, spokojnie i z szacunkiem, jak to on. Od czasu, kiedy zimą nastał u mnie z żoną Agnes, moje gospodarstwo działa jak w zegarku. Przez na wpół otwarte drzwi usłyszałem, że Agnes każe małemu Timothy'emu przynieść świeżej wody i prosi Josephine, by pospieszyła się ze śniadaniem dla mnie. Mówiła lekkim, życzliwym tonem.

– Kolejny piękny dzień – ośmielił się odezwać Martin. Był ponadczterdziestoletnim jegomościem, nieco łysiejącym, o przeciętnych, niczym niewyróżniających się rysach twarzy.

Nikomu w domu nie powiedziałem, że jadę na egzekucję Anny Askew.

– Rzeczywiście – odparłem. – Przed południem chyba popracuję w gabinecie, potem wychodzę.

– Doskonale, proszę pana. Śniadanie wkrótce będzie na stole. – Skłonił się i wyszedł.

Wstałem, krzywiąc się z bólu w krzyżu. Na szczęście, ostatnio dolega mi mniej, ponieważ starannie wypełniam zalecenia mego przyjaciela lekarza, Guya. Niestety, nie czuję się przy Martinie swobodnie, bo choć polubiłem jego małżonkę, w jego chłodnym, nieco sztywnym sposobie bycia jest coś, co mnie krępuje. Umywszy twarz i włożywszy czystą, pachnącą lekko rozmarynem koszulę, zgańłem samego siebie za brak rozsądku, gdyż jako pan to ja powinienem nawiązać ze służącym mniej formalne stosunki.

Przyjrzałem się sobie w stalowym lustrze. Kolejne zmarszczki, pomyślałem. Wiosną skończyłem czterdziesty czwarty rok życia. Zmarszczki, siwiejące włosy i zgarbione plecy. Ponieważ bardzo

modne były brody – nawet mój sekretarz Barak nosił małą, brązową – sam przed kilkoma miesiącami próbowałem taką zapuścić, lecz urosła siwawa, więc uznałem, że nie jest mi w niej dobrze.

Wyjrzałem przez wielodzielne okno do ogrodu, w którym za moim pozwoleniem Agnes umieściła kilka uli i zaprowadziła ogród zielny. Dzięki temu wyglądał ładniej, a zioła nie tylko pięknie pachniały, lecz także przydawały się w kuchni. Ptaki śpiewały, pszczoły unosiły się wokół kwiatów, wszystko było kolorowe i pogodne. Co za dzień, by w tak straszny sposób stracić życie! – pomyślałem o młodej niewieście i trzech mężczyznach.

Mój wzrok spoczął na liście leżącym na szafce przy łóżku. Pochodził z Antwerprii w hiszpańskich Niderlandach, gdzie przebywał mój dziewiętnastoletni podopieczny, Hugh Curteys, pracujący dla tamtejszych angielskich kupców. Chłopak był teraz zadowolony. Pierwotnie zamierzał studiować w Niemczech, został jednak w Antwerprii i niespodziewanie zainteresował się handlem tkaninami, a zwłaszcza wyszukiwaniem i wyceną rzadkich jedwabi oraz nowych tkanin, takich jak bawełna, która przybywała z Nowego Świata. Listy Hugh wyrażały zadowolenie z pracy, a także swobodnej atmosfery intelektualnej i towarzyskiej, jaka panowała w tym wielkim mieście; na wydziale retoryki odbywały się targi, debaty i wieczory literackie. Choć Antwerpia należała do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, katolicki cesarz Karol V nie ingerował w życie licznie zamieszkających tam protestantów – wolał nie narażać się flandryjskim bankierom, którzy wykładali pieniądze na jego wojny.

Hugh nigdy nie nawiązywał do mrocznego sekretu, którym podzielił się ze mną podczas naszego spotkania rok wcześniej; wszystkie jego listy były utrzymane w pogodnym tonie. W jednym z nich jednak wspominał o przybyciu do Antwerprii dużej liczby uchodźców z Anglii. *Są w żałosnym stanie, zwracają się do kupców o pomoc. To reformatorzy i radykałowie, przepełnieni strachem, że wpadną w sieć prześladowań, którą, jak powiadają, biskup Gardiner zarzucił na całą Anglię.*

Westchnąłem, włożyłem toge i zszedłem na śniadanie. Nie mogłem dłużej mitrężyć czasu, musiałem zacząć ten okropny dzień.

Polowanie na heretyków rozpoczęło się wiosną. Zimą nieprzewidywalna polityka religijna króla zwróciła się w stronę reformatorów. Przekonał parlament, by pozwolił mu zlikwidować kaplice rodowe, w których księża na mocy testamentów umierających darczyńców celebrowali msze za ich dusze. Jednakże, jak wielu innych, podejrzewałem, że kierowały nim motywy nie religijne, lecz finansowe – wojna z Francją, podczas której Anglicy byli oblegani w Boulogne, kosztowała bająnskie sumy. Henryk wciąż obniżał wartość pieniądza, a takiego wzrostu cen nie pamiętali najstarsi. Najnowsze „srebrne” szylingi zawierały zaledwie warstwę srebra wokół miedzianego krążka i już przecierały się pośrodku. Król zyskał nowy przydomek: „Stary Miedzianonosy”. Z powodu niżki, jakiej żądali kupcy, przyjmując te monety, stały się one warte mniej niż sześciopensówka, a tymczasem zarobki wypłacano zgodnie z nominalną ich wartością.

Wtedy, w marcu, biskup Stephen Gardiner – najbardziej konserwatywny doradca króla w kwestii religii – wynegocjował nowy traktat ze Świętym Cesarstwem Rzymskim. Od kwietnia wciąż słyszało się o ludziach, wysoko i nisko postawionych, których brano na przesłuchania za poglądy w sprawie mszy czy też za posiadanie zakazanych ksiąg. Przesłuchania te objęły nawet domowników samego króla i królowej. Wśród plotek krążących po ulicach Londynu była i ta, że Anna Askew, najlepiej znana ze skazanych na śmierć za herezję, miała powiązania z dworem monarchini i głosiła swe przekonania wśród jej dwórek. Nie widziałem królowej Katarzyny od czasu, gdy przed rokiem była zamieszana w pewną niebezpieczną sprawę, i ku swemu wielkiemu żalowi sądziłem, że nie zobaczę już tej słodkiej i szlachetnej pani. Często jednak o niej myślałem i obawiałem się o nią coraz bardziej, w miarę jak nasilała się nagonka na radykałów. W minionym tygodniu wydano edykt zawierający długą listę ksiąg, których nie wolno było posiadać, a w obecnym dworzanin George Blagge, przyjaciel króla, za herezję został skazany na stos.

Co do mnie, nie sympatyzowałem z żadną ze stron tego religijnego konfliktu i czasami wątpiłem w istnienie Boga, lecz znałem różnych reformatorów, więc jak większość ludzi starałem się nie wychylać i trzymać usta na kłódkę.

Wyszedłem z domu o jedenastej. Timothy przyprowadził pod drzwi frontowe mego pocziwego konia, Genesis, i podstawił mi

podnózek do wsiadania. Miał już trzynaście lat i stawał się coraz wyższy, chudszy i bardziej niezdarny. Wiosną odesłałem do terminu poprzedniego chłopca stajennego, by doszedł do czegoś w życiu, i to samo zamierzałem zrobić z Timothy, kiedy skończy czternasty rok.

– Miłego dnia, jaśnie panie. – Uśmiechnął się swym nieśmiałym szczerbatym uśmiechem, odgarniając z czoła potargany kosmyk ciemnych włosów.

– Dziękuję, chłopcze. Co u ciebie?

– Dobrze, jaśnie panie.

– Musi ci brakować Petera.

– O, tak, jaśnie panie. – Opuścił głowę i kopnął kamyk u stóp.
– Ale wytrzymam.

– Pewnie, że tak – odparłem zachęcająco. – Może jednak powinniśmy pomyśleć o fachu dla ciebie. Zastanawiałeś się nad tym, czym chciałbyś się zajmować w życiu?

Popatrzył na mnie z przestachem w brązowych oczach.

– Nie, jaśnie panie... ja... myślałem, że zostanę tutaj. – Rozejrzał się i zerknął na drogę. Zawsze był cichym chłopcem, nie tak pewnym siebie jak Peter, i zdałem sobie sprawę, że przerażała go myśl o odejściu w szeroki świat.

– Cóż, nie ma z tym pośpiechu – dodałem uspokajająco. Wyraźnie odetchnął z ulgą. – Muszę już jechać... Obowiązek wzywa.



Przejechałem pod Temple Bar, po czym skręciłem w Gifford Street, prowadzącą na Smithfield. Wielu ludzi zmierzało zakurzoną drogą w tym samym kierunku – jedni konno, drudzy na piechotę, bogaci i biedni, mężczyźni, kobiety i nawet kilkoro dzieci. Niektórzy, zwłaszcza ci w ciemnych strojach, które upodobali sobie religijni radykałowie, byli poważni, inni obojętni, a jeszcze inni podnieceni, jakby nie mogli już się doczekać rozrywki. Pod czarny beret włożyłem perukę komisarza i zacząłem pocić się w upale. Przypomniałem sobie z irytacją, że jestem po południu umówiony z bardzo trudną klientką, Isabel Slanning, której sprawa – spór z bratem w związku z testamentem matki – należała do najgłupszych i najbardziej kosztownych, jakimi kiedykolwiek się zajmowałem.

Minąłem dwóch młodych terminatorów w granatowych kaftanach

i czapkach.

– Dlaczego muszą urządzać takie widowisko w samo południe? – Usłyszałem, jak jeden z nich narzeka. – Nie będzie ani odrobiny cienia.

– A ja tam wiem? Pewnie jakieś zarządzenie. Biednej pani Askew będzie jeszcze cieplej. Przed końcem dnia zagrzeje sobie tyłek, co?



Smithfield była już zatłoczona. Na placu, gdzie dwa razy w tygodniu odbywał się targ, cisnęło się mnóstwo ludzi, z których wszyscy zwrócili się w stronę odgradzonego miejsca pośrodku, strzeżonego przez żołnierzy w białych płaszczach z krzyżem świętego Jerzego i w metalowych hełmach. Trzymali halabardy i mieli surowe miny. Gdyby nastąpiły jakieś protesty, szybko zostałyby stłumione. Popatrzyłem na tych ludzi ze smutkiem. Na widok żołnierzy zawsze myślałem o swych przyjaciółach, którzy stracili życie, a ja niemal razem z nimi, kiedy podczas akcji odpierania francuskiej inwazji zatonąła wielka *Mary Rose*. Od tamtego czasu minął rok, prawie co do dnia, uświadomiłem sobie. W poprzednim miesiącu nadeszły wieści, że wojna dobiega końca, prawie wynegocjowano już z Francją, a także Szkocją, zawieszenie broni, pozostało do uzgodnienia tylko kilka szczegółów. Przypomniałem sobie młode, niewinne twarze żołnierzy, wpadające do wody ciała i zamknąłem oczy. Dla nich pokój przyszedł za późno.

Z końskiego grzbietu miałem lepszy widok niż większość zgromadzonych, znacznie lepszy, niżbym sobie życzył, i w dodatku byłem coraz bliżej odgradzonej przestrzeni, ponieważ tłum wypierał do przodu tych na koniach. Pośrodku centralnego obszaru w suchą ziemię wbito trzy dębowe pale wysokości siedmiu stóp każdy. Tkwiły w nich metalowe obręcze, przez które londyńscy konstable przeciągali żelazne łańcuchy, wsuwali w ich ogniwa kłódki i sprawdzali, czy działają klucze. Czynili to spokojnie i rzeczowo. Nieco dalej, wokół wielkiego stosu drewna – grubych wiązek małych gałęzi – stali inni konstable. Cieszyłem się, że nie pada deszcz. Słyszałem, że jeśli drewno jest mokre, pali się dłużej, straszliwie przedłużając cierpienia ofiar. Naprzeciwko stosu wznosiła się wysoka, pomalowana na biało drewniana mównica. Stąd przed egzekucją miało być wygłoszone kazanie, ostatni apel do heretyków, by wyrazili skruchę. Zadanie to

przypadło Nicholasowi Shaxtonowi, byłemu biskupowi Salisbury, radykalnemu reformatorowi, skazanemu na stos razem z innymi, który jednak wyrzekł się herezji, by ocalić życie.

Po wschodniej stronie placu, za szeregiem pięknych kolorowych budynków, zobaczyłem starą wysoką wieżę kościoła Świętego Bartłomieja. Kiedy siedem lat wcześniej klasztor został rozwiązany, jego ziemie przeszły na własność jednego z członków Tajnej Rady, sir Richarda Richa, który zbudował te domy. W ich oknach tłoczyli się ludzie. Przed dawną klasztorną stróżówką wzniesiono wysoki drewniany podest z baldachimem w królewskich barwach: zieleni i bieli. Stojąca pod nim długa ława była zasłana grubymi jaskrawymi poduszkami. Stąd mieli oglądać egzekucję burmistrz oraz przedstawiciele Tajnej Rady. Wśród siedzących na końskich grzbietach rozpoznałem wielu urzędników miejskich; skinąłem głową tym, których znałem. W pewnej odległości stała grupka mężczyzn w średnim wieku, wszyscy byli poważni i zatroskani. Usłyszałem kilka słów w obcym języku i uznałem, że muszą to być flamandzcy kupcy.

Wokół mnie panował gwar, w powietrzu zaś unosiła się ostra woń londyńczyków latem.

– Podobno łamano ją kołem, aż powyrywano jej ze stawów ręce i nogi...

– Wszak nie mogli jej torturować po skazaniu...

– I John Lassells też ma być spalony. To on doniósł królowi o flirtach Katarzyny Howard...

– Mówią, że Katarzyna Parr też jest w tarapatach. Mógłby mieć siódmą żonę...

– Czy darują im życie, jeśli okażą żal?

– Za późno na to...

Przy baldachimie nastąpiło poruszenie i głowy zwróciły się w tamtym kierunku; ze stróżówki wyszła w otoczeniu żołnierzy grupa dostojników ubranych w jedwabne togi i czapki, niektórzy ze złotymi łańcuchami na szyjach. Powoli wkroczyli po stopniach na podest i gdy żołnierze zajęli miejsca przed nimi, usiedli w długim rzędzie, poprawiając czapki oraz łańcuchy i spoglądając na gawiedź z zaciętymi, pośepnymi minami. Znałem wielu z nich: burmistrza Londynu, Bowesa, w czerwonej szacie; księcia Norfolk, starszego i chudsze niż przed sześcioma laty, kiedy go poznałem, z butnym wyrazem

wyniosłej surowej twarzy. Przy jego boku siedział duchowny w białej jedwabnej sutannie z narzuconą na nią czarną albą; nie znałem go, lecz domyślałem się, że musi to być biskup Gardiner. Miał około sześćdziesiątki, był przysadzisty i smagły, z dumnym orlim nosem i dużymi ciemnymi oczami, które lustrowały tłum. Pochylił się i szepnął coś do Norfolka, który skinął głową i uśmiechnął się szyderczo. Wielu mówiło, że tych dwóch chętnie oddałoby Anglię z powrotem pod władzę Rzymu, gdyby tylko mogli.

Za nimi siedziało trzech mężczyzn. Każdy z nich zdobył wpływy za Thomasa Cromwella, ale kiedy ten upadł, zwrócili się ku frakcji konserwatywnej w Tajnej Radzie i byli jak chorągiewka na wietrze, pokazując raz tę, raz inną twarz. William Paget, sekretarz królewski, który wysłał list do Rowlanda, miał szeroką kanciąstą twarz i kryjące się pod krzaczastą brązową brodą cienkie usta z jednym opadającym ostro kącikiem, przez co przypominały kreskę. Powiadano, że Paget był obecnie najbliżej króla; nosił przydomek „Mistrz Ceremonii”.

Obok Pageta siedzieli lord kanclerz Thomas Wriothesley, zwierzchnik prawników, wysoki, szczupły, z rudą wystającą bródką, i wreszcie sir Richard Rich, wciąż starszy członek Tajnej Rady, mimo oskarżeń o korupcję sprzed dwóch lat, a także, z tego, co wiedziałem, morderca i mój odwieczny wróg. Nic mi z jego strony nie groziło, gdyż wiedziałem o nim pewne rzeczy i wciąż byłem pod opieką królowej. Cokolwiek to jest teraz warte, pomyślałem z niepokojem. Spojrzałem na Richa. Mimo upału miał na sobie zieloną szatę z futrzanym kołnierzem i – ku swemu zaskoczeniu – dostrzegłem w jego szczupłej twarzy o regularnych rysach lęk. Długie włosy, które miał skryte pod zdobionym klejnotami beretem, całkiem już posiwiały. Bawił się złotym łańcuchem. Potem, patrząc w tłum, napotkał mój wzrok. Zaczerwienił się i zaciął usta. Przez chwilę patrzył na mnie, po czym odwrócił głowę, kiedy zwrócił się do niego Wriothesley. Przebiegł mnie dreszcz. Mój niepokój udzielił się koniowi, który poruszył się nerwowo. Uspokoilem go klepieniem.

Obok mnie przeszedł żołnierz, niosąc ostrożnie koszyk.

– Z drogi, z drogi! To proch!

Ucieszyłem się. Przynajmniej okazała trochę łaski. Karą za herezję było spalenie żywcem na stosie, czasami jednak władze pozwalały przywiązać paczkę z prochem na szyjach skazańców; proch

ekspłodował, kiedy dotarły do niego płomienie, i powodował natychmiastową śmierć ofiar.

– Powinni spłonąć do szcztu! – sprzeciwił się ktoś.

– Dobrze mów! – przyznał mu rację inny. – Pocałunek ognia, lekki i bolesny! – Rozległ się złowieszczy chichot.

Obejrzałem się, kiedy inny jeździec, także w letniej jedwabnej todze prawniczej i ciemnej czapce, przejechał przez tłum i zatrzymał się tuż obok. Był ode mnie kilka lat starszy, miał urodziwą, choć dość poważną twarz, krótką ciemną brodę i niebieskie oczy o przenikliwym, szczerym i bezpośrednim spojrzeniu.

– Dobrego dnia, komisarzu Shardlake.

– I tobie, kolego Coleswyn.

Philip Coleswyn był prawnikiem z Gray's Inn i mym adwersarzem w okropnej sprawie pani Slanning. Występował w imieniu brata mej klientki, równie swarliwego i trudnego jak ona, ale chociaż musieliśmy się zmierzyć jako prawnicy, miałem Coleswyna za porządnego i uczciwego; nie należał do tych adwokatów, którzy dla zarobku chętnie bronią najgorszych spraw. Przypuszczałem, że uważa swego klienta za tak samo irytującego, jak ja moją klientkę. Słyszałem też, że jest reformatorem – ostatnio jeśli o czymś plotkowano, to o poglądach religijnych innych ludzi – choć mnie to nie robiło żadnej różnicy.

– Reprezentujesz Lincoln's Inn? – zapytał.

– Tak. A ciebie wybrano na przedstawiciela Gray's Inn?

– Nie inaczej. Z własnej woli bym tu nie przyjechał.

– Tak jak ja.

– To będzie okrutne widowisko. – Spojrzał mi w oczy.

– Owszem. Okrutne i przerażające.

– Niebawem za nielegalne uznają modlenie się do Boga. – Mówił z lekkim drżeniem w głosie.

Odpowiedziałem wymijająco, lecz ironicznym tonem:

– Naszym obowiązkiem jest wierzyć tak, jak nakazuje król Henryk.

– I oto nakazał – odparł cicho Coleswyn. Pokręcił głową i dodał:

– Przepraszam cię, kolego, powinienem uważać na słowa.

– Owszem. Teraz to konieczne.

Żołnierz ostrożnie położył koszyk z woreczkami prochu w rogu odgrodzonego terenu. Przeszedł przez barierkę i stanął w szeregu przy kolegach, zwrócony twarzą ku gawiedzi, całkiem niedaleko nas.

Wtedy Wriothesley pochylił się i skinął na niego palcem. Ten pospieszył do podestu, a wówczas Wriothesley wskazał koszyk z prochem. Żołnierz coś odpowiedział i lord kanclerz wyprostował się na ławie, widocznie zadowolony. Tamten zaś wrócił na miejsce.

– O co chodziło? – Usłyszałem, że pyta go kolega.

– Chciał wiedzieć, ile jest tam prochu. Bał się, że kiedy ładunek wybuchnie, w stronę podestu polecą płonące szczapy. Wyjaśniłem mu, że paczki z prochem zostaną przywiązane do szyj skazańców, wysoko nad szczapami.

Żołnierz się zaśmiał.

– Radykałowie by się ucieszyli, gdyby Gardiner i połowa Tajnej Rady także spłonęli. John Bale napisałby o tym jakąś sztukę.

Poczułem na sobie czyjś wzrok. Nieco po lewej stronie ujrzałem prawnika w czarnej todze. Stał z dwoma młodzieńcami odzianymi w dublety barwione drogimi substancjami oraz zdobne w perły berety. On sam też był młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną, niskim i szczupłym, o wąskiej twarzy, wyłupiastych oczach i rzadkiej brodzie. Patrzył na mnie twardym wzrokiem. Napotkał moje spojrzenie i odwrócił głowę.

– Znasz tego prawnika, który stoi z tymi dwoma fircykami? – zapytałem Coleswyna.

Pokręcił głową.

– Chyba widziałem go raz czy dwa w sądzie, lecz nie wiem, kim jest.

– Nieważne.

W tłumie nastąpiło poruszenie, albowiem z Little Britain Street wyłoniła się procesja. Pojawili się następni żołnierze otaczający trzech mężczyzn w długich białych koszulach, jednego młodego i dwóch w średnim wieku. Wszyscy mieli nieruchome twarze, ale dziki, pełen strachu wzrok. Za nimi podążali kolejni dwaj żołnierze, niosąc na fotelu młodą, ładną jasnowłosą kobietę, mającą ponad dwadzieścia lat. Kiedy fotel się zachwiał, uchwyciła się podłokietników, a twarz wykrzywiła jej się z bólu. Więc to była Anna Askew, która opuściła męża w Lincolnshire, by przybyć do Londynu i tu nauczać, twierdząc, że poświęcona hostia to tylko kawałek chleba, pleśniejący jak wszystkie inne, jeśli zostawi się go w pudełku.

– Nie wiedziałem, że jest taka młoda – szepnął Coleswyn.

Kilku konstabli podbiegło do stosu drewna i biorąc z niego wiązki

szczap, ułożyło je wokół pali na wysokość stopy. Zaprowadzono tam trzech mężczyzn. Pod nogami konstabli trzaskały gałązki, kiedy przywiązywali skazańców: dwóch – odwróconych do siebie plecami – do pierwszego pala, a trzeciego do następnego z kolei. Słychać było dzwonięcie łańcuchów, którymi wiązali im nogi, tułowia i szyje. Annę Askew zaniesiono pod trzeci pal. Żołnierze postawili fotel na ziemi, a konstable przywiązali ją do pala za szyję i w talii.

– To prawda – odezwał się Coleswyn. – Była w Tower torturowana. Zobacz, nie może sama ustać na nogach.

– Lecz po co to robić, skoro została już skazana?

– To wie tylko Jezus.

Jeden z żołnierzy wyjął z koszyka cztery brązowe paczki rozmiaru dużej pięści i starannie przywiązał po jednej do szyi każdego ze skazańców. Ci wzdrygnęli się odruchowo. Z dawnej stróżówki wyszedł konstabl, niosąc zapaloną pochodnię. Stał z kamienną miną przy ogrodzeniu. Wszyscy zwrócili na niego wzrok. W tłumie zapadła cisza.

Na mównicę wszedł mężczyzna w duchownych szatach. Był starszy, siwowłosa i rumiany; starał się zapanować nad wyrazem twarzy, wykrzywionej przez strach. Był to Nicholas Shaxton. Jednakże w czasie wyrzekania się herezji także miał być przywiązany do pala. Z tłumu dobiegły nieprzyjazne pomruki, potem okrzyk:

– To hańba palić na stosie braci w Chrystusie!

Nastąpił zamęt i ktoś uderzył tego, który wołał; dwaj żołnierze pospieszyli ich rozdzielić.

Shaxton zaczął wygłaszać kazanie, długą rozprawę uzasadniającą dogmat mszy świętej. Trzej skazani mężczyźni słuchali w milczeniu, jeden z nich trząsł się w sposób nieopanowany. Na ich twarzach i białych koszulach pojawił się pot. Anna Askew jednak co jakiś czas przerywała Shaxtonowi okrzykami w rodzaju: „Opuszcza fragmenty, mówi bez księgi!”. Wydawała się już spokojna i opanowana, niemal jakby dobrze się bawiła podczas tego widowiska. Zastanawiałem się, czy biedaczka nie oszalała. Ktoś z tłumu zawołał:

– Zaczynajcie! Podpalcie stosy!

Wreszcie Shaxton skończył. Powoli zszedł z mównicy i został odprowadzony z powrotem do stróżówki. Chciał wejść do środka, lecz żołnierze chwycili go pod ramiona, po czym odwrócili. Miał stać

na progu i patrzeć.

Wokół skazańców ułożono wiązki drewna, które sięgały im teraz do łydek. Potem podszedł konstabl z pochodnią i po kolei podpalił wszystkie stosy. Rozległ się trzask ognia, któremu towarzyszyły gwałtowne oddechy, a następnie krzyki bólu, kiedy płomienie ogarnęły nogi ofiar. Jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć raz po raz:

– Chrystus przyjmie mnie do siebie! Chrystus mnie przyjmie!

Usłyszałem, że z ust Anny Askew wyrwał się jęk, i zamknąłem oczy. Wokół mnie zapadła cisza, tłum przyglądał się egzekucji.

Wydawało się, że krzyki i trzaskanie szczap nigdy się nie skończą. Mój koń znowu poruszył się niespokojnie i przez chwilę doznałem tego okropnego uczucia, które nawiedzało mnie od czasu zatonięcia *Mary Rose*: miałem wrażenie, że ziemia pode mną się kołysze, zapada i unosi, więc musiałem otworzyć oczy. Trzej mężczyźni wciąż krzyczeli i wili się przy palach. Płomienie już sięgały im do ramion i dolnych części tułowia, paląc skórę. Krew spływała w ogień. Dwaj z nich pochylali się do przodu, czyniąc rozpaczliwe próby zapalenia prochu, daremnie, gdyż nie sięgali tak nisko. Anna Askew osunęła się na fotelu, wszystko wskazywało na to, że straciła przytomność. Zebrało mi się na mdłości. Spojrzałem na rząd twarzy pod baldachimem; wszystkie były zacięte i surowe. Potem zwróciłem uwagę, że młody szczupły prawnik znowu przygląda mi się z tłumy. Pomyślałem z lękiem: Kto to jest? Czego chce?

Coleswyn jęknął i zachwiał się w siodle. Wyciągnąłem rękę, by go podtrzymać. Wziął głęboki oddech i wyprostował się.

– Odwagi, kolego – powiedziałem do niego łagodnie.

Spojrzał na mnie pobladły, z kroplami potu na twarzy.

– Zdajesz sobie sprawę, że każdy z nas może tak skończyć? – spytał szeptem.

Zobaczyłem, że część zgromadzonych się odwróciła; jedno czy dwoje dzieci, przerażonych straszliwym widokiem, płakało. Któryś z flamandzkich kupców wyjął mały modlitewnik i otworzywszy go, recytował coś z niego po cichu. Jednakże inni śmiali się i żartowali. Nad Smithfield oprócz smrodu ludzkich ciał unosił się zapach dymu i czegoś jeszcze, znanego z kuchni: woń pieczonego mięsa. Wbrew woli zerknąłem ponownie na stosy. Płomienie sięgały już wyżej; dolne części ciał skazańców poczerniały, gdzieniegdzie ukazywały się białe

kości, górne partie były czerwone od krwi, kiedy ogarniał je ogień. Z przerażeniem dostrzegłem, że Anna Askew odzyskała przytomność i wydawała żalosne jęki, gdy płonęła jej koszula.

Zaczęła coś krzyczeć, lecz wtedy płomienie dosięgły paczki z prochem i wybuch oderwał jej głowę. Krew, kości i mózg wyleciały w powietrze, spadając z sykiem w ogień.